

Bardo

Karol Kopańko

Przeżyłem sen...

Chcecie usłyszeć jaki? Hmm... Sam nie wiem, czy chcę się Nim z Wami podzielić. Dlaczego? Bo, zawsze tak mam, że gdy komuś powiem o swojej Tajemnicy, to ona przestaje być moja. Podzieliłem się Nią z kimś.

Ale nie lubię Tego przeżywać sam. A teraz jestem sam. Nie licząc Was. Ale kim Wy jesteście? Nie znacie mnie i nie poznacie. Lubię myśleć o Sobie jako o niezgłębionej głębi umysłu panującego niepodzielnie nad uczuciami; jako o niezrównanej jednostce, w której lubuje się świat. Czuję, że obraziłem siebie słowem *jednostka*. Jestem *Legion*, gdyż we Mnie jest Mnie wielu. Nie grzeszę skromnością... wiem.

Są takie chwile, kiedy w sobie wątpię. Wtedy myślę, że moją osobowość można rozpisać na niewielkiej kartce papieru za pomocą kilku skreśleń pióra. Sądzę, że jestem płytki jak kałuże herbaty rozlanej na stole; płaski jak tafla wody w bezwietrzny dzień. Boję się wtedy nie na żarty. Nie chcę być tylko krótkim tchnieniem dla tego świata, popiołem rozsypanym między żyjącymi.

A może zbyt dużo czasu poświęcam rozmyśleniom o swojej naturze? Gdybym je kontynuował, byłbym hipokrytą. Wróćmy więc do początku. Zacząłem mówić o śnie. Chociaż gdyby tak się zastanowić, to sen jest dziwny. Nie mówię tu o moim śnie, ale o śnie w ogóle. Mianowicie, traktujemy mówienie do siebie jako oznakę niezbyt dobrej kondycji psychicznej. A przecież sen jest właśnie taką dyskusją z samym sobą. Ale kogo z kim? Jajogłowi już dawno ogłosili, że mózg w czasie snu przetwarza informacje. Jest to więc rozmowa umysłu ze swym lustrzanym odbiciem. A umysł to nic innego jak zlepek neuronów pobudzanych przez impulsy elektryczne. Szczerze mówiąc wolę myśleć, że tam w środku nas siedzi jakiś mały *ktos* będący naszą kwintesencją i steruje naszymi poczynaniami. Ludzie wymyślili różne nazwy na jego określenie. Daimonion na przykład. Przyjemniej brzmi jednak *jestestwo*.

Znowu odszedłem od tematu. Tak już mam. Nie mogę zatrzymać myśli na jednym obiekcie. Puszczam ich wodze. Chcę, aby mnie niosły. Nawet na manowce racjonalizmu. Nie mogę Wam zagwarantować, że w momencie, kiedy to mówię, moje myśli nie są już daleko stąd; gnane wiatrami podniet buchających z każdego zaułka tego świata. Nie obrażajcie się, jeśli nie poświęcę Wam dostatecznej uwagi. Jest tyle głosów, które w tym momencie do mnie mówią, choć wciąż jestem sam. Teraz myślę, że jeśli podzielę się z kimś moim Snem, to poczuję się, jakbym należał do jakiejś Wspólnoty. Ale przecież Ja gardzę Wspólnotą – nie ma w niej miejsca dla indywidualium. Wszyscy są równi i niscy, a jak ktoś nie jest to zostanie skrócony. Najlepiej o głowę. Takie myślenie jest wygodne i usprawiedliwia odosobnienie. Czuję jednak w swoim *jestestwie*, że chciałbym być częścią społeczności. A może to zwykłe spięcie neuronalne (o ile coś takiego istnieje?). To już nieważne. Zdecydowałem. Zaczynam.

Tak to jest ze snami, że zaczynają się ni z tego, ni z owego. Ot, jesteśmy tu, gdzie jesteśmy i się zaczyna. Więc...

Krystalicznie czyste niebo, bez żadnej skazy, jaką niewątpliwie byłaby choćby najmniejsza chmurka - to pierwszy obraz jaki ujrzałem, gdy otworzyłem oczy. Podniosłem się, usiadłem na łóżku i zorientowałem się, że znajduję się na bezkresnej łące pokrytej żółtymi mleciami. Daleko stąd horyzont ostro łączył się z dziewiczą zielenią. Nie było wiatru, a mimo to rośliny bezwiednie kiwały się to w prawo, to w lewo. Wstałem z łóżka

i przeszedłem kilka kroków. Czułem jak pod moim ciężarem łamały się kwiaty. Obróciłem się do tyłu. Łóżko znikło. Nie przeszkadzało mi to - nie będę chyba spać we własnym śnie.

Było jasno, ale chociaż z uporem szukałem jakiegoś źródła światła, moje starania poszły na marne. Mój umysł zdawał się zapomnieć o tak błahym detalu, jakim było Słońce.

Nic ciekawego się nie działo, więc podbiegłem do pobliskiego drzewa i usiadłem opierając się o jego silny pień. Doznałem wtedy dziwnego uczucia. Mógłbym przysiąc, że to drzewo przed chwilą nie istniało, nie widziałem go. Jednakowoż słowo *istnieć* jest bardzo przewrotne w stosunku do rzeczywistości somnambulicznych. Tak samo jak słowo *rzeczywistość*. Zaakceptowawszy pojawienie się drzewa delektowałem się odpoczynkiem w jego cieniu (cieniu bez Słońca). Było to bardzo przyjemne, choć bezproduktywne zajęcie.

Nie byłem tu sam. Majestatyczne jednorożce pasły się leniwie na łąkach. Poruszały się jak baletnice z pełną gracją i opanowaniem znamionującym świadomość własnego piękna, ukoronowanego olśniewającym rogiem.

Moje obserwacje przerwał cichy szelest dochodzący z góry. Wstałem i spojrzałem nad siebie. Jakiś kształt przesuwiał się po najwyższych gałęziach. Bez chwili namysłu chwyciłem leżącą obok drabinę i przystawiłem ją do drzewa. Zacząłem się wspinać po jej szczeblach. Było to uczucie o tyle dziwne, że dziewicze, ponieważ jestem obdarzony skrupulatnym lękiem wysokości. Tak skrupulatnym, że od drugiego szczebelka drabiny zwykle zaczynam czuć się nieswojo. Teraz się jakoś tym nie przejąłem.

- Po co tu wchodzisz? - zapytał mnie nagle Głos dochodzący z góry, na oko, a raczej ucho dobre kilka metrów nade mną. W koronie drzewa było tak ciemno, że nie mogłem dobrze rozeznaczyć kształtów nadawcy pytania.

- Czy mam stąd odejść? - rzuciłem w ciemność; choć nie czułem strachu, to przestałem się wspinać.

- Ty decyduj, to nie mój świat.

- A czyj?

- Ooo... to jest dobre pytanie przyjacielu – odpowiedziała mi ciemność. – Mogę się tak do ciebie zwracać *przyjacielu*?

- Jeśli tylko sprawi Ci to przyjemność.

- Nie jestem pewien czy mogę czuć coś takiego jak *przyjemność*.

- Dlaczego?

- To długa historia... - odpowiedział enigmatycznie Głos. – A ty przecież nie masz czasu.

- Przeciwnie, mam go pod dostatkiem – w tym momencie nie czułem potrzeby żadnego pośpiechu; nie w tej Arkadii.

- Tak Ci się tylko wydaje przyjacielu. Być może za chwilę ziemia się rozstąpi i pochłonie Nas do swojego wnętrza. Co wtedy powiesz?

Zapadła chwila dość kłopotliwego milczenia. Nie pamiętam dokładnie, co wtedy czułem. Głos przemawiał do mnie z wysokości. Dosłownie i w przenośni. Był taki mocny a jednocześnie słaby. Potężny a bezsilny. Jakby jego siła została uwięziona w niewidocznej klatce blokującej wszelkie dążenia. Był w stanie gotowości, a jednocześnie nie mógł nic zrobić. Nie wiedziałem, co o Nim myśleć. Na pewno chciałem go lepiej poznać. Zaintrygował Mnie.

- Ty Mnie widzisz, ale Ja Ciebie nie – zacząłem.

- To jakim byś Mnie zobaczył nie byłoby Moim obliczem. Byłoby tylko odbiciem tego, czym Twój umysł jest karmiony – tu przerwał na moment jakby dla zebrania odpowiednich słów. - Czas daje perspektywę do oceny tego, co się zrobiło. Ja dziś już widzę, że zrobiłem Coś, za co powinienem przestać Istnieć. Po prostu Nie Być. A jednak niewątpliwie Jestem; przecież z Tobą rozmawiam. Chyba, że Ciebie też Nie Ma. Ale wtedy to Wszystko nie miałoby sensu, więc odrzucam taką opcję. Istnienie oczywiście ma sens. Lubię myśleć, że nawet Moje.

- Dlaczego *nawet Twoje*? – zapytałem.

- Postawmy sprawę jasno: gdybyś wiedział Kim lub Czym jestem nawet byś na Mnie nie spojrział.

- Tego nie wiesz – zaprotestowałem.

- Wiem. Zaufaj mi przyjacielu. Zrób dla Mnie chociaż tyle.

Jakkolwiek teraz ta rozmowa brzmi dziwnie, wtedy taka nie była. Tak to już czasami jest, że kiedy coś przebiega to rozumiemy tego istotę, ale gdy się skończy, zachodzimy w głowę jak było możliwe.

Moja rozmowa z Głosem skończyła się bardzo szybko; po prostu powiedział, że muszę już iść, bo mogę mieć nieprzyjemności. Nie wyjaśnił o jakie nieprzyjemności chodziło; właściwie to nic nie wyjaśnił. Gdy schodziłem zdawało mi się, że zobaczyłem Jego oczy. Nie należały do człowieka, a przynajmniej nie do żadnego, którego znałem. Miały żółte, pionowe źrenice, które dosłownie świdrowały Mnie swym smutnym spojrzeniem. Gdy Głos zorientował się, że patrzę Mu prosto w oczy, szybko odwrócił wzrok i skrył się w jeszcze głębszym cieniu. Wykrzyknąłem do Niego na zakończenie „Bywaj przyjacielu”, ale moje słowa odbiły się jedynie od dojmującej ciszy.

Gdy moje nieobute stopy spoczęły na kwiecistym dywanie zobaczyłem horyzont, który nie graniczył już z zielenią, a z lazurem wody. Gdzie się tylko obróciłem, wszędzie woda. Cień jaki rzucała jabłoń (wcześniej nie zastanawiało Mnie, jakie to drzewo) skurczył się; oznaczało to, że to, cokolwiek oświetla tę krainę, jest teraz w zenicie. Jednorożce nie wydawały się zajmować tym problemem. Leniwie kłusowały wyrzucając w górę puch mlecзовy. Brutalnie ogołoczone badyle sprawiły, że łąka wydawała się smutniejsza niż wcześniej.

Coś w środku pchnęło Mnie do pasącego się niedaleko samotnego jednorożca. Podchodziłem do Niego powolutku, a On nie przerywał skubania trawy. Zawsze lubiłem patrzeć na płynność, z jaką kopytne wyrywały ziemi trawę. Gdy zbliżyłem się na odległość wyciągniętej ręki usłyszałem pytanie:

- Dlaczego z Tym rozmawiałeś?

- Kto tu jest? – wykrzyknąłem i obróciłem się wokół własnej osi.

- Do Ciebie mówię – powiedział Jednorożec.

- Ty umiesz mówić?

- Widzisz w tym cokolwiek dziwnego?

Byłem lekko skonsternowany, ale skoro sen chciał ze Mną grać na takich zasadach, to dlaczego nie...

- Właściwie to nic. Po prostu pierwszy raz rozmawiam z... no - ze zwierzakiem.

- Co?! – wykrzyknął Jednorożec stając przez moment na tylnych nogach. – Czym jestem?

- No to chyba oczywiste – zdezorientowanie weszło na wyższy poziom. - Dokładnie jednorożcem – dodałem widząc, że wcześniejsza odpowiedź nie zadowoliła Mego rozmówcy.

- Dobrze, że przynajmniej Tym – uspokoił się nieco. - No, muszę przyznać - pierwszy raz spotykam się z taką formą wizualizacji. A jak na jednorożca to jak wyglądam?

- Raczej normalnie. O ile mogę tak powiedzieć, to jak zwykły biały koń z kręconym rogiem na czole.

- Licz się ze słowami! Nie lubię być pospolity. Czy to jasne? – potaknąłem nieznacznie a On kontynuował – Pytałem Cię na początku dlaczego z Tym rozmawiałeś.

Jakoś nie poczułem sympatii do Jednorożca. I te Jego dziwne pytania o wygląd.

- Czy ma znaczenie? Rozmawiałem i już.

- Mój kochany – zaczął z udawaną manierą – tu każde Twoje słowo, tak samo jak każda Twoja myśl, ma znaczenie. Więc odpowiadaj na pytania.

- A właściwie dlaczego nazywasz Go *Tym*?

- Kiedyś może i był *Kimś*, ale teraz jest tylko, a może aż *Tym*. Nie jest godzien obmyć moich stóp, choćby nawet własnymi łzami.

Nie podobał Mi się pogardliwy sposób, w jaki Jednorożec mówił o Mieszkańcu Jabłoni. Chciałem dać temu wyraz, ale Mój Śnieżnobiały Rozmówca nie oddawał inicjatywy:

- Ja jestem teraz w hierarchii znacznie wyżej niż *To* kiedykolwiek było. Tak w ogóle to ujmą dla Mnie jest, kiedy o *Tym* rozmawiamy więc zmieńmy temat; porozmawiajmy o tym, czego Ty chcesz.

- Czego Ja chcę? – zapytałem zaskoczony zmianą tematu.

- No tak, każdy kto Tu przychodzi czegoś chce. A to, żeby komuś szepnąć dobre słówko, albo zadbać o korzystny rozwój wydarzeń, czy tym podobne.

- Ja niczego nie chcę – odpowiedziałem zastanowiwszy się niezbyt głęboko.

- Coś Mi tu się nie podoba... Czy Ty wiesz dlaczego tu jesteś?

- Nie rozumiem... co to za pytanie?

- A wiesz w ogóle, gdzie jesteśmy? – zapytał Jednorożec powoli opuszczając głowę tak, że rogiem już prawie celował w Moją głowę.

- No właściwie to nie... po prostu... jestem Tu... - wyjąkałem.

- No nie! Po raz kolejny tracę czas na wątpliwe przypadki! – wykrzyknął w eter i dodał po chwili do Mnie – musisz porozmawiać z Rybakiem. Koniecznie.

- Nic nie rozumiem. O co chodzi?

- Nawet nie pytaj.

- Ale Ja nie widziałem Tu żadnego Rybaka!

- Bo nie chciał Ci się pokazać.

- Więc gdzie On jest?

- Posłuchaj, nie mam już dla Ciebie czasu – po tych słowach odwrócił się i pobiegł w kierunku jabłoni.

- Dokąd mam iść? – wykrzyknąłem widząc oddalającą się sylwetkę Jednorożca.

- W stronę Słońca!

„No pięknie. Tylko, że tu nie ma Słońca”, pomyślałem i jeszcze raz obejrzałem się dookoła. Byłem sam na pustej łące. Nie widziałem już ani jednorożców, ani jabłoni. Wydłużył się cień rzucany przez żalosne kręgosłupy mleczy. Czyżby nadchodził zmrok? Niebo przybrało pomarańczową barwę. Zaszła też pewna niepokojąca zmiana. Mianowicie

wyspa jakby się zmniejszyła. Coraz większą powierzchnię zajmowała woda. Nie wyglądała. Ona jak zwykła woda. Dominował w niej kolor granatowy zmieszany z głęboką czernią.

Ku swojemu zdumieniu na plaży dostrzegłem człowieka siedzącego na rozkładanym krześle. Postanowiłem do Niego podbiec. W miarę jak jego postać rosła w moich oczach, dostrzegłem wędkę trzymaną w obu rękach. Rybak?

- Przepraszam, czy Pan jest Rybakiem? – zapytałem.

Nie otrzymałem odpowiedzi. Zobaczyłem, że w wodzie pływają małe, białe kulki. Wiadro stojące obok Mnie było nimi w połowie wypełnione. Te wyłowione stawały się powoli czarne i puste w środku. Nagle człowiek siedzący na rozkładanym krześle zaczął coś wyrwać z wody. Po chwili szarpaniny w jego ręku znalazła się zdjęta z haczyka kulka.

- Ta wyjątkowo chciała jeszcze popływać – powiedział i przeniósł na Mnie swój wzrok. – Acha... i tak możesz Mnie nazwać Rybakiem.

- Co Pan robi? – zapytałem dostrzegając kątem oka ewidentnie podnoszący się poziom wody. Widocznie szedł przypyływ.

- Wędkuję.

- Tak, ale co Pan łąwi?

- To są takie małe stworzonka. Wydaje Mi się, że kiedyś je nazwałem... Ale już nie pamiętam.

- Po co je Pan łąwi?

- Nadeszła ich pora.

- I co się stanie z tymi z wiadra?

- Ich już tam nie ma.

Zerknąłem do wiadra. Wciąż tam były. Czarne, ale jednak.

- Widzę, że są.

- Powtarzam, ich już tam nie ma. Są daleko stąd.

Postanowiłem dać za wygraną. Poczułem jak woda zaczyna dotykać Moich stóp.

- Nie powinniśmy się gdzieś przenieść. Chyba idzie przypyływ.

- Och nie... Zdecydowanie nie. Tu jest wybornie.

Poczułem strach. Z wody nie wystawał już żaden mlecz. Woda sięgała Mi do kolan. Jedyny krajobraz stanowiła gładka tafla oceanu. Zaczynało zmierzchać.

- Poznałeś Węża i Jednorożca.

- To był Wąż? Na jabłoni? – zapytałem.

- Tak. Co o Nim sądzisz?

- Wydawało Mi się, że czułem do Niego pewien rodzaj sympatii.

- Interesujące... naprawdę.

- Dlaczego?

- Wąż pokutuje.

- Czy zrobił coś złego?

- Tak... Tak można to określić.

- Wydaje mi się że On nie cieszy się sympatią Jednorożca.

- To mało powiedziane. Widzisz, ktoś kto spogląda na wszystkich z góry ten nie dostrzega zmian w ich wnętrzu. Widzi tylko bezwymiarową płaszczyznę. Ale dość o Nich - teraz Ty jesteś najważniejszy.

- Nie wiem dlaczego jestem tu, gdzie jestem? – zapytałem zauważając, że woda sięga Mi do pasa.

- Także nie wiem. Musiał nastąpić błąd, za który Cię serdecznie przepraszam. Nie nadszedł jeszcze Twój czas.

- Nie rozumiem.

- Nie dziwię się. Życie nie jest proste. A tym bardziej śmierć.

- Czy Ja utonę?

- Obawiam się, że tak. Właściwie... musi tak się stać.

- Ale ja chcę żyć.

- Niewątpliwie. Któżby nie chciał.

Ogarnęła Mnie panika. Stawało się coraz ciemniej. Woda dotykała Moich ramion; zachowywała się dziwnie wokół Rybaka, jakby od Niego odstępowała.

- Nie bój się. Jeszcze się spotkamy. Co się odwlecze...

Woda zaczęła Mi się wlewać do ust. Czulem, że to Moje ostatnie sekundy.

- Gdzie jest Słońce? – zapytałem ostatnim tchnieniem.

- To ja Nim jestem...

Dalej pamiętam tylko ciemność...

...ciemność...

...ciemność...

... i nagle palące w oczy światło...

~~~~~

Obudziłem się na szpitalnym łóżku. Człowiek w białym kitlu poinformował Mnie, że znajdowałem się przez 3 minuty w stanie śmierci klinicznej.

To był Cud, że wciąż żyję.